

Bohdan Kozięło-Poklewski, Stanisława Badowska

Wpamięnienia techników i inżynierów - pionierów odbudowy województwa olsztyńskiego

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 2, 221-243

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisława Badowska · Bohdan Kozięło-Poklewski

WSPOMNIENIA TECHNIKÓW I INŻYNIERÓW — PIONIERÓW ODBUDOWY WOJEWÓDZTWA OLSZTYŃSKIEGO

Mimo dającego się zauważyć, zwłaszcza w ostatnim pięcioleciu, ożywienia badań nad historią województwa olsztyńskiego, ciągle jeszcze znajdujemy się daleko od pełnej syntezy dziejów naszego regionu w ubiegłym trzydziestoleciu. Fragmentaryczność dokumentacji archiwalnej, skromna liczba opracowań monograficznych poszczególnych zagadnień życia społeczno-gospodarczego i politycznego regionu, wreszcie, co niezmiernie ważne, brak systematycznych studiów nad osadnictwem Warmii i Mazur — oto zasadnicze przyczyny tego stanu rzeczy. W tej sytuacji każda inicjatywa, która w jakimś stopniu poszerza naszą znajomość dziejów regionu lub przynajmniej dostarcza materiałów do jego poznania, jest cenna. Za taką też uznać należy konkurs ogłoszony przez Oddział Wojewódzki Naczelnej Organizacji Technicznej w Olsztynie.

Nieliczna wśród pierwszych osadników przybyłych do Olsztyna kadra techniczna była niewątpliwie tą grupą, której praca i działalność miały najbardziej widoczny wpływ na odbudowę i formowanie się nowego życia. Dla tej grupy ludzi, jak też dla tych, którzy w okresie późniejszym podjęli pracę w zawodach technicznych w województwie olsztyńskim, Oddział Wojewódzki Naczelnej Organizacji Technicznej w Olsztynie przy współudziale innych instytucji zorganizował w 1968 roku konkurs pt. *Mój udział w rozwoju Warmii i Mazur*¹. W regulaminie konkursu organizatorzy pisali: „Wspomnienia mogą odnosić się do okresu od czasu wyzwolenia województwa olsztyńskiego do chwili obecnej. Można w nich ująć wspomnienia z całego 25-lecia, jednego roku, jednego dnia, lub z konkretnego wydarzenia. Organizatorom chodzi szczególnie o autentyzm, a także o osobisty stosunek do opisywanych faktów, o dokument postaw. Organizatorzy pragną również, by ukazano nie tylko fakty pozytywne, ale sięgano do trudności, konfliktów itp.”². Objętość prac nie została określona regulaminem konkursu. Termin nadsyłania upływał 31 stycznia 1969 roku, nadesłano w sumie 25 prac³.

¹ Archiwum Oddziału Wojewódzkiego Naczelnej Organizacji Technicznej w Olsztynie: *Konkurs na wspomnienia kadry technicznej*. Współorganizatorami konkursu byli: Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie, Wydział Kultury, Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze” i Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie.

² *Ibidem*.

³ Biuletyn Organizacyjny O/W NOT, Olsztyn, VI 1969, nr 10, ss 18—19. Laureatami konkursu zostali: II nagroda Mieczysław Królik za pracę *Mazurskie wę-*

Czym są te wspomnienia? Dwadzieścia pięć prac nadesłanych na konkurs nie może odzwierciedlić przeżyć i pracy ogółu inżynierów i techników osiadłych i pracujących w województwie olsztyńskim. A jednak są one reprezentatywne dla pewnej, wyodrębniającej się kategorii: najmocniej zaangażowanych w okres pionierski. Znamienne zwłaszcza są tu podobieństwa i powtórzenia określające postawy autorów wobec zadań i obowiązków oraz naświetlające ich rolę jako organizatorów życia gospodarczego na Warmii i Mazurach. Wspomnienia nie wyczerpują, oczywiście, problematyki odbudowy gospodarczej naszego regionu nawet w pierwszym pionierskim okresie, sygnalizują jednak i wskazują na wiele zjawisk godnych uwagi. Ponadto podają mnóstwo faktów jednostkowych z dziejów organizacji życia gospodarczego na Warmii i Mazurach; ukazują tło codziennych trosk związanych z rekonstrukcją i odbudową zakładów, uruchomieniem produkcji, staraniami o narzędzia, maszyny i surowce, kłopotami transportowymi, a nade wszystko dotkliwym brakiem fachowych rąk do pracy.

Na podstawie tych relacji nie można pokusić się o opracowanie całości procesu odbudowy gospodarki naszego regionu, tym niemniej umożliwiają one wgląd w złożoność i mechanizm, a także wprowadzają w ich atmosferę społeczną.

Poniżej zaprezentowano fragmenty wspomnień 11 autorów⁴. Są to ci, którzy piszą o pierwszym, dosłownie pionierskim okresie. Jako umowną granicę przyjęto rok 1950. Wyjątek stanowi wspomnienie inż. leśnika Czesława Truszkowskiego. Mimo iż dotyczy ono pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, przedstawia prawdziwie pionierskie warunki pracy leśników. A więc i dalsze lata były jeszcze — przynajmniej w niektórych dziedzinach gospodarki — okresem kłędzenia podwalin i przewyżczenia najbardziej elementarnych braków. Potwierdza to lektura innych, nie publikowanych pamiętników.

Publikowane relacje pochodzą od: dwóch geodetów, dwóch leśników, dwóch pracowników telekomunikacji, trzech mechaników, inżyniera rybaka, inżyniera budowlanego. Wybrano fragmenty plastyczne, nieraz posiadające własną frapującą akcję. Zaniechano wprowadzania do oryginalnych tekstów (z reguły zresztą poprawnych) jakichkolwiek zmian redakcyjnych. Starano się w ten sposób przekazać wprawdzie bardzo fragmentaryczną, ale posiadającą walor autentyczny ilustrację ówczesnych zmagania o przywrócenie do życia spustoszonego i wydłubionego kraju.

drowki, dwie III nagrody: Witold Korzynek za pracę *Moje życie i praca na Warmii i Mazurach* oraz Roman Rubik za pracę *Początki administracji Lasów Państwowych na Warmii i Mazurach*, IV nagroda: Czesław Truszkowski za pracę *Nakaz pracy*, V nagroda Zygmunt Ossowski za pracę *Zawód z przypadku*, VI nagroda: Wacław Wiśniewski za pracę *Refleksje racjonalizatora*. Wyróżnienia otrzymali: Bolesław Jasiński za pracę *Moje ośmioletnie wspomnienia*, Józef Kulikowski za pracę *Starszy mechanik*, Aleksander Kozłowski za pracę *Pierwsze lata rozwoju rybactwa w woj. olsztyńskim*, Mieczysław Millo za pracę *Start w roku 1945*, Czesław Ogrodziński — *Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”*, Władysław Hepke — Oddział Wojewódzkiej Naczelnej Organizacji Technicznej w Olsztynie.

Członkami jury byli: Maciej Hłowiecki — redakcja „Polityki”, Edward Martuszewski — Oddział Związku Literatów Polskich w Olsztynie, Edmund Wojnowski — Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie, Władysław Ogrodziński — Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, Władysław Hepke — Oddział Wojewódzkiej Naczelnej Organizacji Technicznej w Olsztynie.

⁴ Wspomnienia przechowywane są w Dziale Historycznym Muzeum Mazurskiego w Olsztynie.

Podstawową tematykę tworzenia podwalin gospodarki Warmii i Mazur uzupełniono fragmentami wyjaśniającymi motywy osiedlania się na tych terenach, mówiącymi ogólnie o warunkach bytowych, jakie zastali w Olsztyńskim pierwsi osadnicy. Spośród zagadnień dotyczących spraw ściśle zawodowych wyodrębniono kilka charakterystycznych wypowiedzi: o wyborze zawodu oraz o podnoszeniu kwalifikacji i kształtowaniu się kadr technicznych.

I. MOTYWY OSIEDLANIA SIĘ W OLSZTYŃSKIEM

Motywy skłaniające tych ludzi do osiedlenia się na Warmii i Mazurach były różnorodne, jeden z nich to warunki materialne po zakończeniu wojny. Wydaje się, że najczęściej decyzja miała motywy złożone — zarówno ekonomiczne, jak społeczne i polityczne.

Na ten temat pisze Roman Rubik: „Po zakończeniu wojny i ustaleniu granic Polski Ludowej wyjechałem z Wilna pociągiem repatriacyjnym z kilkoma leśnikami w nieznaną, pozostawiając dorobek całego życia, dom i kraj rodzinny oraz groby najbliższych, w poszukiwaniu nowego domu w nieznaną Ziemi. Do Olsztyna dotarliśmy 23 VI 45 r.”

Czesław Rychlik, warszawiak, był więźniem obozu w Sachsenhausen. Wyzwolony został przez armię amerykańską w okolicach Schwerina 3 V 1945 r. Pisze on:

„W Warszawie, do której dotarłem w dniu 17 V 1945 r. zastałem znaczne спустoszenia rodzinne. Zginął ojciec, dwóch braci i wielu członków naszej rodziny. Żona z dziećmi utrzymała się przy życiu, lecz warunki w jakich żyli, w jakich oczywiście i ja się znalazłem, były okropne. W poszukiwaniu pracy złożyłem wiele podań, lecz widoki na początek były słabe. Wszystko się dopiero organizowało. Życie bez podstawowych dobrodziejstw cywilizacyjnych i bez komunikacji było ciężkie. W czasie wędrowek po Warszawie spotkałem młodzieutkiego wówczas kolegę z Oświęcimia Ryszarda Gnoińskiego; razem, patrząc na nawołujące do osiedlania się na Ziemiach Odzyskanych plakaty, postanowiliśmy wyruszyć do Olsztyna.”

Meliorant Antoni Nowicki osiedlił się w Szczytnie. Przed wojną prowadził prace melioracyjne w powiecie przasnyskim przy regulacji rzeki Orzyc. Z tego tytułu musiał porozumiewać się z władzami niemieckimi. W związku z tym w czasie wojny Niemcy kazali mu prowadzić prace melioracyjne w powiatach przasnyskim, makowskim i szczywieńskim. Po wojnie zlecono mu zorganizowanie Urzędu Wodno-Melioracyjnego w Przasnyszu, a w połowie 1945 roku zaproponowano wyjazd w Olsztyńskie.

Władysław Borek, mechanik z Kętrzyna:

„Byłem wówczas po raz pierwszy w Kętrzynie, spędziłem kilka dni urlopu u rodziców, którzy zamieszkiwali już w Kętrzynie od połowy 1948 roku. Zwiedzałem miasto, którego centrum leżało w gruzach i jego bezludne ulice jeszcze bardziej kojarzyły mi myśli do bezpowrotnego wyjazdu z Kętrzyna. Sprawa była to jasna, żeby zamienić Poznań na Kętrzyn, trzeba było się zastanowić i pomyśleć. Miasto Poznań w owym okresie tętniło już pełnym życiem i rozmachem. Pracowałem w Zakładach H. Cegielski, w dogodnych warunkach, gdzie zdobyłem odpowiednią wiedzę techniczną, wykształcenie i wyrobiłem swój pogląd na rozwój przemysłu metalowego.

Jedynym kłopotem i zmartwieniem, jaki miałem w Poznaniu, to była sprawa

otrzymania mieszkania. Przez okres trzech lat zmieniałem czterokrotnie adresy zamieszkania. Wszędzie mieszkalem jako sublokator. — Po przyjeździe do Poznania długo rozmyślałem, co robić dalej. Tymczasem z końcem lutego naprawdę już nie miałem mieszkania, a od rodziców otrzymałem list, w którym proszono mnie o przyjazd do Kętrzyna na stały pobyt. Muszę tu jednak stwierdzić, że mimo wahań co do opuszczenia Poznania, wabiły mnie tereny Warmii i Mazur, które już częściowo poznałem w 1947 r. latem będąc na obozie letnim w Mikołajkach. Zdecydowałem się rozwiązać natychmiast stosunek służbowy z Zakładami H. Cegielski i pod koniec lutego przyjechałem do Kętrzyna.”

Również z Poznania przybył do Olsztyna inż. leśnik Czesław Truskowski. Jego wypowiedź na temat motywów osiedlenia się w Olsztyńskim jest już typowa dla lat pięćdziesiątych, niemniej sprawa mieszkania nic nie straciła na aktualności.

„Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Poznańskim na Wydziale Leśnym otrzymałem nakaz pracy i skierowanie do Państwowej Centrali Drzewnej «Paged» Ekspozytura w Olsztynie. Przybyłem do Olsztyna 1 grudnia 1950 r. Z braku mieszkania dyrekcja ulokowała mnie u jednego z kierowców samochodowych, gdzie otrzymałem łóżko, na którym mogłem spać w nocy. Na skutek niezbyt komfortowych warunków mieszkaniowych musiałem pozostawić żonę w Poznaniu.

Po paru miesiącach wciągania się do pracy zakomunikował dyrektor, że z uwagi na trudności w obsadzeniu kierownika bazy spedycyjnej w Ornece, mam przejść to stanowisko w najbliższych dniach. Początkowo broniłem się, gdyż nie miałem odpowiedniego stażu i doświadczenia. Jednak oświadczono mi, że ponieważ mam nakaz pracy, więc jestem zobowiązany pracować tam, gdzie dyrekcja skieruje. Na takie dictum zgodziłem się już bez dalszego sprzeciwu. Z drugiej strony ucieszyłem się, bo obiecywano szybsze i łatwiejsze otrzymanie mieszkania.”

II. OLSZTYŃSKIE PO WYZWOLENIU. WARUNKI ŻYCIA PIONIERÓW

W różnych miesiącach 1945 roku przybywali do Olsztyna autorzy wspomnień. W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się ci, którzy przyjechali tu w pierwszej połowie 1945 r. Miasto nękały pożary, brakowało żywności, każda grupa żyła „własnym przemysłem”. Miejscowe zapasy żywności były minimalne i w tym pierwszym okresie przeznaczano je przede wszystkim na potrzeby wojska, które zresztą — jak to wynika ze wspomnień — część przekazywało do organizujących się stołówek pracowniczych. Możliwość dowozu żywności oraz innych artykułów pierwszej potrzeby były ograniczone ze względu na brak transportu⁵. Najazd różnego typu „niebieskich ptaków”, traktujących Warmię i Mazury jako obszar łatwego wzbogacenia się i wywożących stąd wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość dezorganizował w poważnym stopniu rodzące się życie.

O tych pierwszych miesiącach pisze Mieczysław Millo, teletechnik z Olsztyna: „Do Olsztyna dotarliśmy pod wieczór 23 III 1945 r. — Niektóre ulice wylotowe są zakorkowane wrakami czołgów, co chwila zwaliska przesłaniają widok. Wypalone budynki chwieją się na wietrze, nieuwaga przechodnia może go wiele kosztować — —. Przenocowaliśmy w tzw. «Hotelu nad Łyną». Ilość jego lokatorów

⁵ E. Wojnowski, *Warmia i Mazury w latach 1945—1947. Kształtowanie się stosunków politycznych*, Olsztyn 1968, ss. 83—84.

wynosiła wtedy 24 osoby. Przed nami przybyła do Olsztyna duża grupa nieźle już zorganizowanych kolejarzy dla całego regionu. — Lokale mieszkalne Olsztyna są dosłownie zatłoczone masami różnego sprzętu domowego: szaf, kredensów, otoman — nadto ogromną ilością różnego balastu, zniszczonego pożywienia, pierza, pościeli, popiołu, nie wiadomo skąd tu nawiezionego itd. — nie do uprzątnięcia, zwłaszcza własnymi siłami. Trzeba by to gdzieś wywieźć, ale kto to ma zrobić, czym, no i kim —. Peszy nas pustka bezludnych ulic, lecz jeszcze bardziej obnażanie głów przed naszymi opaskami na ramieniu przez różnych — zresztą nie-licznych tu — staruszków. —

W terenie wystąpiły tu i ówdzie wypadki duru brzuszego wśród ludności. Od objawów tej zarazy nie była wolna także i nasza grupa, ale na szczęście nie był to jeszcze żaden dur. Bo nie przeżylibyśmy go w naszych warunkach, gdyby nas dotknął. Nie było tu wszak jeszcze ani żadnych lekarzy, ani aptek, ni leków, ale — po prostu — nie było co jeść. Były to więc objawy nie tyle duru, co raczej pustki naszych żołądków i skutków wypełniania ich czym popadło i w niedozwolonej, zwłaszcza dla wygłodniałych, ilości.

Dopałem i ja kiedyś znalezionego w którejś z piwnic ponad dwulitrowego słoja wypełnionego konfiturą agrestową. Oporządziłem całą jego zawartość w ciągu niewiele minut. Inni, powiedzmy «pionierzy» to samo przecież robili z różnymi grzybkami w occie, tomatem, jakąś jarzynką lub innymi podobnymi przysmakami nie dla pustych żołądków przeznaczonymi. — Czym odżywiały się poszczególne ekipy i jak sobie radziły, było to już ich osobistą sprawą. Ktoś znalazł kilkukilogramową paczkę jakiejś zupy w proszku, ktoś inny — 15—20 kg żyta w woreczku, które po ugotowaniu ziarna i dodaniu ziemniaków dało, całkiem wtedy niezły, chleb razowy własnego wypieku. Powstał więc problem wyżywienia ekip, bowiem w terenie przeważnie nie znajdowano niczego, chyba tylko drobne ilości zasolonego gdzieś drobiu, lub jeszcze mniej słoniny w wędzarniach chat wiejskich, jeżeli ktoś umiał je odnaleźć. Pełnomocnictwo uruchamia więc przy ul. 1 Maja ogólną stółkę nad radziecką pocztą polową, mieszczącą się obok gmachu dzisiejszej Dyrekcji Pocht i Telegrafów. Pożywieniem jest tam przeważnie tzw. «smelka» na mleku dostarczonem przez radzieckie sowchozy wojskowe. Czasem urozmaici to pożywienie jakiś śledzik, zacierka, i to wszystko. —

Pomimo zaostreń oraz wysiłków garnizonu pożary w mieście wciąż jeszcze powtarzają się. Może dlatego właśnie garnizon starać się będzie przyspieszyć przekazanie miastu pełnomocnikowi rządu. W dzielnicach już jako tako zaludnionych pożary raczej nie powstają, podczas gdy w nie zamieszkałych często i te długo dymią. Temat dziś może niezrozumiały i dziwny, lecz działo się to właśnie nie dziś. Nie mieliśmy tu ani własnych tradycji, zabrakło wypędzonej ewakuacją ludności polskiej, nie miał kto, prócz garnizonu, przeciwdziałać temu zjawisku. — Pożary te ustały dopiero pod koniec lipca.”

Witold K o r z y n e k, inż. rybak:

„Następnego dnia (był to początek maja 1945 r.) zgłosiłem się u pełnomocnika rządu pułkownika Prawina, gdzie natychmiast dostałem przydział do Wydziału Rybackiego, do dyspozycji kierownika inż. Bolesława Dąbrowskiego. Tu w Wydziale Rybackim zostałem z radością przyjęty przez grono rybaków, a było ich już niemało. Tu spotkałem swego znajomego inż. Bolesława Gastmana, który przed wojną odbywał u mnie praktykę rybacką na jeziorach poleskich. Wszyscy kwaterowaliśmy razem u gościnnego inż. Bolesława Dąbrowskiego, który zajął nad

Jeziorem Długim piękną willę. Ulicę, przy której stała ta willa nazwaliśmy ulicą Rybaków, z racji tej, że poza rybakami na tej kolonii nikt jeszcze nie mieszkał. Dzielnica ta była piękna i nie zniszczona, lecz procesje różnych ciemnych typów stale pładrowały te domki i choć mało co z nich zabierały, lecz niemiłosiernie wszystko niszczyły. Żyło się tu możliwie, lecz głodno. Mieliliśmy do dyspozycji sporo świeżych i wędzonych ryb, które nam dostarczał rybak Fabek, mieszkający nad rzeką Wadąg. — —

Życie w Olsztynie z każdym dniem stawało się możliwe, coraz więcej ludzi przyjeżdżało i brało się do pracy. Lecz straszną plagą byli szabrownicy, którzy przyjeżdżali furmankami z okolicznych powiatów i zabierali, co tylko się dało, nie patrząc na protesty miejscowych mieszkańców. Warmiaków i Mazurów traktowali jako Niemców, a więc wrogów i mścili się na nich za swoje krzywdy."

Czesław Rychlik, inż. budowlany:

„Biblijne określenie początku świata «Na początku był chaos» najbardziej chyba pasuje do roku 1945 na Warmii i Mazurach. Jeszcze nie wygasły zgliszcząca płonąca lub rozbitych pociskami domów, jeszcze nie uprzątnięto trupów ludzkich i zwierzęcych, które zalegały również pola i drogi, a już rozpoczął się napływ nowych ludzi, którzy w różnorodny sposób czepiali się i tworzyli życie od nowa. Dziwne to było życie i zdawało się, gdy ktoś patrzył na nie normalnymi oczyma, że nie ma siły, by z tego biblijnego chaosu powstał jakiś pozytywny porządek. Jedni bowiem przybywali na tę ziemię, by uciec po prostu ze swego poprzedniego środowiska w obawie przed obrachunkiem z przeszłością, inni znów, by znaleźć się tam, gdzie w chaosie można na nieszczęściu i tragedii ludzkiej dobrze się obłowić, wreszcie nieliczni w pierwszym okresie, by naprawdę na ruinach i zgliszczach hitlerowskiego porządku budować zręby Polski Ludowej. W takiej to chwili 17 VI 1945 r. i ja znalazłem się w Olsztynie."

Roman Rubik, leśnik:

„Na peryferiach miasta mieszkać było niebezpiecznie z uwagi na słabe zaludnienie i wobec częstych rabunków uprawianych przez różny nieodpowiedzialny element. W tym czasie na tablicy ogłoszeniowej Dyrekcji Lasów Państwowych poszczególni pracownicy zamieszkali nad Długim Jeziorem i na Zatorzu umieszczali ogłoszenia o wolnych mieszkaniach w sąsiedztwie, wzywając nowo przybyłych do ich zajmowania.

Pierwsze miesiące pobytu na nowym miejscu były bardzo ciężkie, a zwłaszcza na peryferiach miasta, ponieważ nie było żadnej komunikacji miejskiej, niezbędne były wodociągi, brakowało światła i gazu. W domach okna były powybijane, a drzwi wejściowe wyłamane. W nocy ze względu na bezpieczeństwo trzeba było dyżurować na zmianę. Żywiliśmy się zapasami przywiezionymi ze sobą. Pierwszy sklep spożywczy nr 1 przy ul. 1 Maja 13 uruchomiony został bodajże w sierpniu 1945 roku. W Dyrekcji Lasów Państwowych uruchomiona została sekcja aprowizacyjna, która zaopatrywała dorywczo pracowników w niezbędne produkty żywnościowe. Czynna była również przez jakiś czas stołówka."

III. TWORZENIE ZRĘBÓW GOSPODARKI WOJEWÓDZTWA OLSZTYŃSKIEGO

Duże wrażenie sprawia obraz warunków w tym pierwszym, pionierskim okresie. Wspomniane kłopoty z zaopatrzeniem w żywność, groźba epidemii duru brzuszego, kłopoty transportowe, to tylko niektóre spośród wielu. Na dobrą sprawę,

brakowało wszystkiego — narzędzi, materiałów, maszyn, a przede wszystkim ludzi. Dlatego też każda maszyna, każde narzędzie, a zwłaszcza każdy człowiek, który wyraził chęć podjęcia pracy był na wagę złota. Nie były to jednak, jeśli chodzi o ludzi, decyzje łatwe. Trzeba bowiem pamiętać, że napotykali oni wyludnione, opustoszałe osiedla. Bardzo często ryzykowali życiem. Poważną groźbę przedstawiały rozrzucone resztki amunicji, niewypały, miny. Zdarzały się częste napady waleśających się maruderów, niedobitków armii niemieckiej i różnego typu band⁶. Warunki bezpieczeństwa pozostawiały jeszcze wiele do życzenia. Nic więc dziwnego, że ludzie niechętnie osiedlali się w rybaczówkach czy osadach leśnych. Sprawom tym poświęcają autorzy wspomnień wiele miejsca, podobnie jak wiele uwagi poświęcają sprawom urządzenia własnego kąta, organizacji przedsięwzięcia, prowadzącej się w pierwszych dniach do doprowadzenia do porządku miejsc pracy, a więc ściąganiu potrzebnych mebli, szkleniu okien itp.

Cytowany już teletechnik Mieczysław Millo pisze:

„15 kwietnia 1945 r. uruchomiony zostaje Rejonowy Urząd Telekomunikacyjny w Olsztynie — —. Monterzy trudnią się nadal zbiórką aparatury, narzędzi itp., jak to się zwykle dzieje przed uruchomieniem jakiegoś zaprojektowanego przedsięwzięcia. Ze zbiórki różnego chłamu teletechnicznego wybierają części przydatne do projektowanego uruchomienia centrali automatycznej, nadmiary lub też na razie nieużyteczny sprzęt przekazują późniejszej Okręgowej Składnicy Materiałów Teletechnicznych. Kłopoty narastają, lecz teraz ma je, bodajże większe, Dyrekcja: odwodnienie zalanych wodą piwnic, uruchomienie kotłowni, wymiana części nieledwie wszystkich grzejników, uruchomienie kanalizacji, dopływu wody, światła itp. Bo miasto wciąż rośnie i pracowników przybywa. Tymczasem Rejonowy Urząd Telekomunikacyjny wciąż dalej rozbudowuje swój stan posiadania, choć wszystkiego mu brak.

Pierwsza łącznica MB na 20 nr [numerów] już dawno nie wystarcza. Już nie ratuje sytuacji i 100 numerów. Czas już zmontować centralę automatyczną, ale nie ma z czego; czas uruchomić połączenia drutowe, ale kto je chce oddać. Czas uruchomić kable międzymiastowe, ale i nie wiemy, gdzie one są i nie wszędzie wolno nam dotrzeć. Co nieco przywiozą z czasem samochody nasze, ale nie wszystko co potrzebne, a i za mało żeby coś z tego już robić. Praktykanci nasi mają tylko stałe zajęcie: pod kierownictwem warsztatowca Michaela nie tylko że montują podzespoły, ale uczą się nie bagatelizować żadnego odchylenia. — —

Ale oto już i teren coś robi. W miastach powiatowych powstają pierwsze placówki pocztowe, przy nich nadzory obsadzone przeważnie przez monterów, a te już z miejsca o coś zabiegają, coś zbierają, coś nawet magazynują dla Dyrekcji na razie u siebie. Niektóre zdobyły już nawet pierwsze łącznice i po kilka aparatów telefonicznych dla swych nadzorów — oby tak wszędzie. Ba, i cóż z tego, kiedy powiaty północne oraz wschodnie żadnych połączeń telekomunikacyjnych z Olsztynem nie mają i nie prędko je zyskają: Braniewo, Bartoszyce, Mrągowo, Węgorzewo, a nadto całe województwo białostockie. — —

W połowie maja 1945 r. na północnych torach linii kolejowych wiodących

⁶ E. Wojnowski, *op. cit.*, ss. 80—83. Por. też F. Sokołowski, *Materiały źródłowe do początków administracji polskiej na Warmii i Mazurach w 1945 roku*, Rocznik Olsztyński, t. 10, 1972, s. 345.

przez Braniewo, Cynty, Bartoszyce, Frydląd, Korsze, Gierdawy⁷ i inne, zbroca torów uślane są różnym sprzętem telekomunikacyjnym z przewagą stojaków do central automatycznych z kompletnym, lub też częściowym tylko wyposażeniem. Skąd to się teraz dopiero tam wzięło — nikt nie wie. Ale długo tam jeszcze poleży, chociażby z braku środków przewozowych. Wiele tego już ktoś — zainteresowany pewnie — stąd wywiózł furmankami, o czym świadczą ślady kół. Ważny jest jednak szczegóły, że to, czegośmy tak długo szukali, leży tu oto zwalone byle gdzie, byle jak i dużo tego jest: starczy pewnie nie tylko na jeden komplet potrzebny nam w Olsztynie. Już wiedzą o tym nasi monterzy tam, gdzie najbliższe są. Zmagazynują to na razie u siebie w najbliższych placówkach pocztowych, gdzie się da. W myśl ówczesnego powiedzenia: aby do wiosny. Z czasem trafi to wszystko do Okręgowej Składnicy Sprzętu Telekomunikacyjnego w Olsztynie i wypełni wszystkie posiadane przez nią garaże i przybudówki. Nie bez trudności przy zwózce: granica nasza z okręgiem kaliningradzkim nie była wtedy jeszcze ściśle ustalona, wytyczona i obsadzona; można było łatwo pobiłdzić, no i znaleźć się na terytorium nie własnym.

Poderwało to odkrycie kogo należało. I zadecydowało o przyspieszeniu budowy centrali automatycznej w Olsztynie.”

Tadeusz Syn d o m a n, monter (Ostróda):

„Mroźny, słoneczny poranek grudnia 1945 roku był nadzwyczaj piękny — . Dość skromnie przedstawiały się wtedy posiadane urządzenia łączności, ponieważ na ich wyposażenie w siedzibie Rejonowego Urzędu Telefoniczno-Telegraficznego w Ostródzie składała się tylko centrala telefoniczna na 20 numerów typu MB i kilka torów łączących niektóre sąsiednie miasta powiatowe i ważniejsze placówki władzy terenowej miasta i powiatu. — . Owego mroźnego i zaśnieżonego grudniowego poranka otrzymałem polecenie od mego przełożonego, to jest kierownika sieci, abym udał się na linię w kierunku Morağa, bo mniej więcej na czwartym kilometrze od Ostródy nastąpiła przerwa przewodów, spowodowana widocznymi skutkami silnego mrozu. — — Skrzętnie i szybko przygotowałem potrzebny sprzęt, to znaczy słupopazy, aparat polowy, trochę drutu i niezbędne narzędzia. Zabrane ładunek nie przekraczał w całości dwudziestu kg i nie uważało się go za nadmierne obciążenie. Dysponowałem ponadto rowerem zmontowanym ze znalezionych na złomowiskach części. Pojazd ten był mi bardzo pomocny w czasie wyjazdów na uszkodzenia, pomimo że zamiast opon pompowanych powietrzem posiadał węże gumowe, które z trudem spełniały ich rolę. Innymi środkami komunikacji służbowej ani prywatnej wówczas nie dysponowano. Pozostali koledzy zazdrościli mi nawet takiego osiągnięcia, bo musieli na uszkodzenia chodzić pieszo, a niezbędny ekwipunek nosić na plecach. Po kilkunastu minutach jazdy dostrzegłem na tle białego śniegu zwisające w pobliżu słupa i nieco skręcone przewody. — — Po połączeniu zerwanych drutów włączyłem swoją polówkę w stronę centrali w Ostródzie, aby przekonać się, czy łączność jest już nawiązana, no i żeby powiadomić przełożonego o wykonaniu zleconego mi zadania. Ale niezwłocznie włączyłem się też w stronę centrali w Morağu, aby powtórzyć uprzednio wykonane próby i po

⁷ W okresie, którego dotyczą wspomnienia sprawa północno-wschodniej granicy między Rzeczpospolitą Polską a Związkiem Radzieckim nie była jeszcze uregulowana. Nastąpiło to dopiero na podstawie porozumienia między rządami polskim i radzieckim 16 VIII 1945 roku (por. E. Wojnowski, *op. cit.*, ss. 66—71; E. Baśniński, *Polska-ZSRR. Kronika faktów i wydarzeń 1944—1971*, Warszawa 1973, s. 51).

połączeniu obu odcinków oddać obwód do pracy. Po kilku obrotach korbką aparatu wyczułem dość silny opór induktora, a dalsze usiłowania wywołania central nie przyniosły żadnego skutku. Zorientowałem się wreszcie, że droga moja musi się jeszcze nieco przedłużyć, bo to, co stwierdziłem, oznaczało następną przerwę, lub inne uszkodzenie na linii. Pospieszyłem zdecydowanie do przodu, pomimo że puszysty śnieg przykrył leśną drogę dość obficie i równomiernie, a usiłowania wykorzystania mego środka lokomocji stawało się bezskuteczne do czasu, aż jakiś pojazd samochodowy nie przetrze zasypanej drogi.

Skrzypiący, suchy śnieg usuwał się spod zmarzniętych i stwardniałych od mrozu butów. Po przebyciu następnych dwóch kilometrów doznałem nowej ulgi, którą przyniosły mi porwane i zwisające na kilku pręślach przewody. Po usunięciu tegoż uszkodzenia zmuszony byłem brnąć jeszcze dalej, bo jak się okazało, nie było ono ostatnie. Jaskrawe, zimowe słońce zeszło już z południa, a ja wciąż uporczywie ciągnąłem do przodu, naprawiając porwane druty już na dwunastym z kolei miejscu. Zauważyłem wreszcie, że zabrakło mi nawet przewodu na wstawki, którego zabrałem niezbyt wiele, nie licząc zresztą na tak masowo występujące uszkodzenia. — —

Dalsza droga przynosiła następne przerwy i uszkodzenia linii, które występowały w odstępach kilometrowych, a nawet i częstszych. Najwięcej kłopotu sprawiał mi brak drutu na wstawki. Aby uporać się z tym mankamentem zmuszony byłem wchodzić na słupy i kolejno odwiązywać czynne przewody. Pozostawiałem jedynie wiązania wykonane prowizorycznie, a uzyskanym w ten sposób drutem łączyłem porwane przewody. Innego wyjścia w tej skomplikowanej sytuacji znaleźć nie byłem w stanie.

Ostatnia, dwudziesta trzecia przerwa zastała mnie w odległości 26 km od Ostródy w niewielkiej i zupełnie wówczas wyludnionej wsi, przed którą stała podziurawiona od kul tablica informacyjna z niemieckim napisem. Po paru latach widniał w tym miejscu napis wieś Bramka. Czerwone promienie zachodzącego słońca wrożyły, że nadchodząca noc będzie również mroźna i wietrzna.

Schodząc z ostatniego słupa po całodzienną wyprawę odczuwałem krańcowe zmęczenie, a zarazem wielką ulgę, gdyż przeprowadzone przez obie centrale próby potwierdziły skuteczność mego całodziennego wysiłku, przyjmując łącznie do pracy. Zapadający niespostrzeżenie szybko zmrok zatarł ślady na pokrytej śniegiem jezdni, a nieliczne przeciągające w ciągu dnia pojazdy uczyniły ją jeszcze trudniejszą do przebycia. Daleka i trudna droga powrotna skłaniała mnie do rozejrzenia się za jakimkolwiek noclegiem. Na opustoszałej wsi nielicznie wtedy zaludnione osady nie dawały znaku życia, a stwarzały wrażenie, jakby starały się odpychać nocnego przechodnia.

Zmarznięty, głodny i niesamowicie wycieńczony wracałem do Ostródy drogą, która prawie na całej długości wiodła przez lasy i stojące nie opodal wypalone, zalatujące spalenizną zagrody."

Witold K o r z y n e k, inż. rybak:

„Musieliśmy apelować za pośrednictwem prasy do wszystkich rybaków w Polsce, by zgłaszali się na wolne gospodarstwa rybackie. Również nawiązaliśmy kontakt z punktem etapowym Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Olsztynie, dokąd przybywały transporty z Wileńszczyzny. Wśród repatriantów werbowaliśmy rybaków, a tym którzy wyrazili chęć pozostania w Olsztynie, umożliwialiśmy w jak najszybszym czasie przejście obowiązku dezynsekcji, dawaliśmy samochody

ciężarowe pod załadunek mienia i wysyłali do wolnych gospodarstw rybackich zaopatrując ich nie tylko w sprzęt rybacki, ale i w żywność na pierwsze dni. W ten sposób staraliśmy się uruchomić gospodarkę rybacką na Warmii i Mazurach. Pełnomocnik rządu RP pułkownik Prawin, widząc nasz trud w organizowaniu rybactwa, wyjednał dla nas jako Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej w Olsztynie bezzwrotną pożyczkę w kwocie 1 200 000 zł na zakup sieci rybackich. Aby dać możliwość swobodnego poruszania się w terenie i zabezpieczenia transportu odławianych ryb, wyjednał dla Spółdzielni sześć samochodów ciężarowych. W tym czasie we wszystkich zorganizowanych gospodarstwach rybackich powstają Spółdzielnie Pracy Rybackiej. Z tą chwilą zaczęła wartkim strumieniem napływać ryba ze wszystkich stron Warmii i Mazur. Ryby jest już tyle, że magazyny i sklepy Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej w Olsztynie nie mogą podolać w rozprawadzeniu takiej. Wędzarnia i solarnia Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej w Olsztynie pracowały całą mocą swej możliwości produkcyjnej, by nie dopuścić do marnowania się ryb. W tym też okresie powstaje prywatna przetwórcza konserw rybnych «Rybak», która z Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej zabiera resztki nie rozprawadzonej ryby i przerabia je w konserwy. Trzy razy w tygodniu z Olsztyna są wysyłane wielkie transporty ryb załadowanych w łodzi lub wędzonych do Warszawy, Łodzi, Lublina i okolicznych miast i miasteczek. — — W zimie 1946 roku zrobiliśmy podsumowanie naszej pracy nad zagospodarowaniem gospodarstw rybackich na Warmii i Mazurach i doszliśmy do przekonania, że jeszcze dużo jezior jest nie zagospodarowanych i leżą odłogiem. Więc znów nasiliiliśmy werbunek rybaków i tworzenie Spółdzielni Pracy Rybackiej, a także popieranie instytucji państwowych trudniących się rybołówstwem, jak również wszelkich stowarzyszeń i prywatnych dzierżawców. — — Liczba Spółdzielni Pracy Rybackiej wzrosła pod koniec 1946 roku do 35 z 449 rybakami zrzeszonymi w nich. Oprócz tego Mazurska Spółdzielnia Rybacka w Olsztynie otrzymywała rybę od 10 różnych instytucji i od 65 indywidualnych rybaków."

Roman Rubik, leśnik:

„7 lipca 1945 roku wyjechałem z Olsztyna własnym koniem (którego przywiozłem z Wilna) w towarzystwie kierownika tartaku ob. Mieczysława Sobolewskiego i jego żony Janiny — do Szczytna w charakterze komisarza, w celu objęcia lasów w tym powiecie. Szczytno znałem w tym czasie tylko z powieści Henryka Sienkiewicza *Krzyżacy*. Reszta grupy operacyjnej w liczbie 5 osób pozostała na dworcu w Olsztynie w oczekiwaniu okazynego pociągu towarowego, ponieważ normalnej komunikacji osobowej wówczas jeszcze nie było.

Do zamierzonego celu podróży w dniu tym nie sądzono nam było dotrzeć. Na terenie obecnego nadleśnictwa Purda Leśna wyszło z lasu trzech uzbrojonych osobników, którzy po sterroryzowaniu nas zabrali nasze walizki i jak w filmie zniknęli z nimi w głębi lasu. A my wróciliśmy z powrotem do Olsztyna. W walizce mojej oprócz rzeczy osobistego użytku była teczka z gotówką państwową w kwocie około 25 000 zł przeznaczona na wypłatę poborów pracownikom znajdującym się w terenie. Najbardziej żał mi było peleryny, 1 kg krajowego tytoniu, wędlin wileńskich i najważniejsze 2 l wódki, stanowiących w tym czasie wartościową walutę zamienną. Napastnicy byli zadowoleni z bogatych łupów, a my z darowanego nam życia. Po paru dniach dojechalismy szczęśliwie do grodu Juranda w tymże składzie, ale już konwojowani przez trzech uzbrojonych strażników leśnych. Podczas całej naszej podróży z Olsztyna do Szczytna nie spotkaliśmy

żadnego człowieka, a w mijanych osiedlach nie widzieliśmy nigdzie dymów z kominów, świadczących o zamieszkanu tych osiedli przez ludzi. Dookoła panowała niczym nie zmaczona cisza. — — W pierwszym okresie mojej działalności na stanowisku komisarza do spraw leśnych w powiecie Szczytno konieczne było nawiązanie kontaktu z nielicznymi miejscowymi władzami oraz dokładne rozpoznanie terenu dla właściwego kierowania nowo przybyłych pracowników i obsadzenia nimi poszczególnych nadleśnictw, leśnictw i tartaków. Jedynym i niezawodnym środkiem lokomocji w tym okresie był mój poczciwy czteroletni mierznek. Na nim to właśnie objechałem wszystkie lasy w powiecie Szczytno.

Nie miałem służbowego furmana, nie otrzymywałem żadnego dodatku za własny środek lokomocji. Żywiłem i utrzymywałem go własnym kosztem i staraniem. Konia używałem nie tylko do własnych wyjazdów. Wypożyczałem go również innym grupom leśników w celu dojechania do swego przyszłego miejsca zamieszkania i skompletowania niezbędnego umeblowania urzędu.

Koń mój był w tym czasie jednym z nielicznych koni w całym powiecie. Nauczony przykrym doświadczeniem pierwszej swojej podróży do Szczytna dalsze wyprawy związane z przejęciem lasów odbywałem w towarzystwie dwóch młodych uzbrojonych leśników, nazwisk których już dziś nie pamiętam. Wyprawy takie trwały po kilka dni. Żywiłymi się w czasie podróży upolowaną przez siebie zwierzyną i rybą złapaną w jeziorach. Ziemiaki braliśmy z kopców, sól mieliśmy własną. Gorzej było z chlebem, którego nigdzie nie można było nabyć, ponieważ teren był bardzo słabo zaludniony. — — W czasie kilkudniowej wódczgi po lasach nie widzieliśmy ludzi i czuliśmy się bardzo samotni. Zatrzymywaliśmy się na brzegu jeziora dla odpoczynku i nałapania ryby na obiad. Po pewnym czasie przybiega zdyszany jeden z moich współtowarzyszy podróży i oznajmia radośnie, że znalazł świeże ślady ludzkie na przybrzeżnym piasku. — —

Osady leśne były przeważnie zniszczone i wyszabrowane. W jednej z osad znaleźliśmy w obrzeże przywiązane do żłobu padłe krowy, które właściciel — uchodząc widocznie pospiesznie — zapomniał uwolnić z łańcuchów. W kancelarii b. nadleśnictw poniemieckich zatrzymywaliśmy się dłużej i szperaliśmy wśród porzucanych w nieładzie akt, wyszukując i zabierając ze sobą operaty i mapy drzewostanowe w celu zabezpieczenia ich przed zniszczeniem. Znalezione tam akta umożliwiły nam w wielu wypadkach odtworzenie dawnych nazw nadleśnictw i leśnictw o polskim brzmieniu. — — Nie było wielkich słów. Była codzienna, żmudna praca i — choć umilkły działa — była walka. Walka o umocnienie polskości tych ziem, które po dwustu prawie latach wróciły do Polski. I były ofiary tejszej walki. Mgr inż. Marian Maskuliński i gajowy Józef Uszko złożyli w tej walce swe młode życia. Zostali zamordowani przez ukrywające się jeszcze w lasach bandy hitlerowskie, pochowani są w pobliżu osady nadleśnictwa, a dla uczczenia ich pamięci postawiono na ich grobie kamień pamiątkowy. Nazwę nadleśnictwa Karwica zmieniono na Maskulińskie dla upamiętnienia pierwszego nadleśniczego tego nadleśnictwa."

Mieczysław Królik z Białegostoku, inż. mechanik:

„W lipcu 1946 roku miałem otrzymać pierwszy urlop od lat. Zjawił się u nas w biurze [w Białymstoku] jakiś gość i prosi, żeby pomóc im w uruchomieniu elektrowni w Łuczanych. — — Zameldowano mnie w Łuczanych jako 305 obywatela. Dostałem skierowanie do stołówki: kilo chleba, zupa i kartofle kraszone są na obiad, tak że wyżywienie jest zapewnione na cały dzień.

W stołówce mieszczącej się w koszarach patrzą na nas ze ścian malowani al fresco Niemcy w feldgrau. Po południu oglądam elektrownię i zasypiamy w jednym z pokoi biurowych na odartych ze skóry, głębokich fotelach klubowych. Na liście «etatowych» pracowników jest 22 ludzi. Do dziesiątej nie ma nikogo prócz nas — mnie i Koralewskiego. Do pierwszej po południu udało mi się zebrać pięciu. Trzeba było w stołówce zastrzec, że bez codziennego poświadczenia z obiadu — nici. Pomogło!

Sytuacja jest trochę niewyraźna, każdy pracownik ma zaświadczenie, że jest angażowany na kierownika elektrowni. Proponowano — brał angaż i kartki żywnościowe, na tym koniec — czekali, aż im ktoś elektrownię uruchomi! To nie kierownika zadanie — on od kierowania, nie od roboty. Kwalifikacje różne. Właściciel wytwórni torebek papierowych, b. uczeń szkoły baletowej, szofer (ten chociaż trochę znał ślusarkę) i kilku innych: ekspedient, b. gajowy, reszta niewykwalifikowani.

Rozdzieliłem robotę. jedni rozkręcają wąż do kotła, drudzy szykują pompę, żeby napędnąć kocioł wodą po przegładzie. Reszta do porządkowania, kilku wysłałem do miasta po narzędzia, co znajdują, niech znoszą! Zgłosił się do mnie jakiś Mazur — tak twierdzi. Rąbie drzewo przy kuchni w jednostce radzieckiej, jest ślusarzem-monterem tutejszego nieczynnego wodociągu. Prosi o wstawiennictwo i pracę u nas.

Mówi mieszanką staropolszczyzny i niemieckiego, ale dobrze mu z oczy patrzy. Załatwiam mu to, nie obiecując na razie nic poza kartkami na żywność. Pieniądzy i tak! nie ma, a i kupić za nie nic prawie się nie kupi. Najwyżej warzywa i owoc. Nowy nazywał się Gustaw Pretorius, okazał się nieocenionym nabytkiem. Urodził się tu, znał miasto i bardzo wiele nam pomógł w dalszej pracy. Po ośmiu dniach robimy małą próbę. Maszyna parowa Wumag 250 KW z wolna nabiera obrotów i w kontrolnej lampce zaczyna się rozjarzać spiralka. Wyłączamy. Teraz sieć. Szukam po różnych szafkach i zakamarkach planów sieci i stacji transformatorowych. Łażę po celkach rozdzielni, odłączam, badam gdzie są odgałęzienia. Sytuacja się klaruje.

Druga sprawa, to czym i jak zasilać kotły. Wody nie ma. Przedtem zasilali z wodociągu, stoi nieczynny. Jezioro jest, ale z pompowni ani śladu, został tylko pusty budynek ze strzępami kabli. Dostaję w starostwie małego mongolskiego konika, «Schimmelke» — siwek, jak go nazywa Gustaw. Beczkowóz i jazda po wodę. Cała sieć miejska jest poważnie pouszkodzana, zwisają postrzelane przewody, leżą niektóre słupy, z transformatorów wyciekł olej. Zwykłym aparatem telefonu polowego «wydzwaniamy» kable. Najpierw z elektrowni do kiosku przy Urzędzie Bezpieczeństwa, potem Komenda Milicji Obywatelskiej, magistrat, starostwo. Jednego kiosku nie możemy znaleźć, dopiero Gustaw pokazuje nam ruiny i twierdzi, że pod nimi, w piwnicy był kiosk. Rzeczywiście jest, i co lepsze, że nic nie uszkodzony, z transformatorami i olejem.

Po trzech tygodniach uroczysty moment, zapas wody na całych sześć godzin nawoziliśmy. Kocioł pod parą, maszyna sprawdzona. Jeden z pracowników, były telefonista, sprawdza końcówki, ma próbną żarówkę i czeka swego święta — włączania rejonów i linii prowizorycznie postukowanych.

O czwartej po południu schodzą się władze: starosta, starszy, siwy pan z bródką, Ławrowski, wicestarosta Browiński, Zawartko — burmistrz miasta Łuczana, herbu trzy ryby, szef Urzędu Bezpieczeństwa, komendant Milicji Obywatelskiej.

W półmroku hali maszyn starosta bez wielkich słów i taśm przecinania obra-ca powoli pokręto zaworu. Ciche sapnięcie maszyny, drgnęło koło, leniwe pół obrotu, obrót i zamigotały szprychy. Biegnę do nastawni i... w ostatniej chwili odciągam za kolumnę pochylonego telefonistę z jego próbną żarówką. Łaż! na 3000 V idiota! z próbną żarówką, sprawdzić, czy jest prąd! Potrzebny mi pierwszy trup dla uczczenia uroczystości! Rób coś z takim elementem!

Znów na salę. Wicestarosta przekręca wyłącznik, zapalają się a giorno wszystkie światła. Cisza. Oklaski. Kolejno fetujemy inne osobistości włączaniem rejonów-kiosków i wychodzimy sprawdzać w teren. Wracam po godzinie. Towarzystwo już dobrze rozbawione. Maszyna nie grzeje się, palacz nie podpił, wody starczy na jakieś trzy godziny.

Znów do miasta. Zapalamy kolejno lampy w instytucjach. Kieliszek jeden, drugi, coś na ząb i dalej. Ludzie się cieszą. Pierwsze światła po wojnie zabłyśły w Łuczanach. Coś się normuje w życiu. Tylko mnie gryzie, że żona od trzech tygodni nie ma znaku życia. Dwa tygodnie urlopu diabli wzięli i jeden nad program. Wróć do Białegostoku, to jeszcze posadzą! W elektrowni ruch. Był już *Góral, Wołga, Wołga*, nie bardzo mnie poznają. Murzyn zrobił swoje.

Na drugi dzień piszę krótkie sprawozdanie i rachunek. Idę do starostwa po wypłatę, muszę wracać do swojej elektrowni, o ile znajdę przypadkowy samochód. Jesteśmy tu odcięci od świata, kolej nieczynna, czasem trafi się jakiś wóz polski czy radziecki. W starostwie zażenowanie, nie mają grosza, od trzech miesięcy są sami bez pensji. Molestują, żeby zostać, zaczekać, puścić im wodociągi. Boją się nieobytej załogi, przepraszają, że wczoraj o mnie zapomnieli. Im dobrze, są już trochę zagospodarowani, jakaś kurka, krówka, wieprzaczek jeden czy drugi. A ja i Koralewski? Raz na dzień wasserzupka i kilo chleba. Radź sobie sam! to i inni skorzy do porad.

Wreszcie zbierali coś ze cztery tysiące (pół mojej należności) i jeden ze starostwa ma pojechać ze mną. Wyjaśnić w Urzędzie Wojewódzkim (należeli do Białegostoku wtedy) moje opóźnienie i prosić o dalsze oddelegowanie na rozruch wodociągów. Ma też kupić tłuszczu, bo go tu bardzo brak, zwłaszcza dla autoch-tonów z elektrowni."

Antoni Nowicki i, meliorant. Szczytno, lato 1945 roku:

„Od czego zaczynać? No — przede wszystkim musieliśmy umeblować biu-rowe pokoje. Ściągaliśmy z miasta biurowy inwentarz, jak stoły, krzeselka, biurka, szafy kancelaryjne, no i... makulaturę poniemiecką. Papieru na razie nie było, więc każdy Urząd starał się jak najwięcej zdobyć tego materiału piśmiennego.

Pierwszego dnia pobieglem oczywiście do poniemieckiego biura melioracyjnego, mając nadzieję zdobycia materiałów projektowych. — Pod gruzami biura znaleźliśmy kilka projektów, prawie wszystkie mapki sztabowe z powiatu Szczytno i Nidzica. Na sztabówkach były zakreślone czerwonym tuszem poszczególne rejony, spółki wodne oraz zlewnie cieków. Mapki te dużo nam dały przy zapoznawaniu się z terenem, przy konserwacji urzędzeń melioracyjnych i sporządza-niu ekspertyz terenów każdej wsi.

Z polecenia władz przed nadejściem zimy rozpoczęliśmy właśnie sporządzanie owych ekspertyz w terenie. Chodziło tu o opisanie gruntów, roślinności, zniszczeń powojennych, stopnia zaniedbania konserwacji cieków itp. Na każdą wieś sporząd-zona była oddzielna eksperetyza. Środki lokomocji były to tylko rowery. Często nam odbierali wojskowi z lasu i nie z lasu i tak słabe środki dowozowe. Ale trud-

no! Ten, który postradał rower, musiał docierać do najbliższych wsi piechotą. Często zatrzymywali nas na drogach przez lasy nie wiadomo co za jedni — rewidowali i grozili. Każdy z nas wyjeżdżał w teren, jak na front z tą różnicą, że nie miał przy sobie żadnej broni, zdany na łaskę i niechęć zatrzymującego. Materiał zebrany przez «terenowców» dostarczany był do biura i tam już trzeba było odrysować szkic danej wsi i wypełnić druk ekspertyzy na czysto.

W miesiącach letnich dosyć względnie pracowało się w biurze, ale gdy nastaly mrozy trzeba było sięgać po kozuchy, gdyż w budynku starostwa nie istniały piece, a centralne ogrzewanie było zniszczone. Zniszczono w ten sposób, że gdy Niemcy odeszli w styczniu 1945 roku, woda w rurach c.o. zamarzła i porozsadzała je. Zaczęliśmy potem sobie radzić w ten sposób, że szperaliśmy w mieście za piecykami żelaznymi i w niedługim czasie w pokojach Starostwa zainstalowane były piecyki. Zdawało się, że już będzie wszystko w porządku, ale niestety. Okazało się bowiem, że nie ma przewodów kominowych i z tej przyczyny trzeba było wyprowadzać dym z pieca rurą przez okno. Dobrze, jeżeli wiatr był pomyślny, w przeciwnym razie dym cofał się do pokoju i wtedy to już naprawdę było nie do wytrzymania — zimno i dymno. Gmach Starostwa wyglądał w tych czasach dosyć komicznie, z każdego bowiem okna wyglądały rury krótkie i długie, z których wydobywał się biały dym z odcieniem żółtym. Paliliśmy węglem. A węgla było pod dostatkiem, toteż ładowaliśmy do pieca, ile wlażło. Z okien wyglądały grube, jak moździerze rury, a cieńsze i długie jak zenitówki celowały w niebo, a inne melancholijnie spoglądały na miasto. Przypominało to wiersz Lermontowa i mołcza w otwartyje luki czuhunnyje puszki gladiat i rzeczywiście wyglądał gmach jak wielki okręt najeżony armatami."

Aleksander W n u k, geodeta z Ostródy:

„Do Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego, który wówczas był w stadium organizacji, zgłosiłem się w marcu 1946 roku z prośbą o przyjęcie mnie do pracy w charakterze mierniczego, oczywiście spotkałem się z bardzo przychylną odpowiedzią. Po przedłożeniu Nacelnikowi Oddziału S.P. Transtottowi niezbędnych dokumentów, bez żadnych trudności zostałem przyjęty. Wobec braku już mieszkań w Olsztynie, osiedliłem się w Ostródzie, gdzie mieszkam do obecnej chwili. Pierwsze kroki w mojej pracy pomiarowej polegały na uporządkowaniu gospodarstw chłopskich osiedlonych tu po wojnie przeważnie repatriantów zza Bugu i przesiedleńców z województw centralnych. — — każdy gospodarz wybrał sobie obszar ziemi najlepszej i najbardziej mu odpowiadającej, reszta ziemi to, zdawało się, beznadziejne odłogi porastające różnego rodzaju krzewami i wylęgarnia myszy, które stały się największą plagą rolników. Trudno sobie nawet wyobrazić taką ilość tych gryzoni na nie zagospodarowanym polu, prawie otwór przy otworze w ziemi, a w norach wylęgarnie. Czasem stawały się dość agresywne i nie okazywały zbytniego przestachu z powodu nadchodzącego człowieka, raczej należało większe ich zgrupowanie omijać, by nie zostać potomkiem legendarnego Popiela. Myszy te stały się plagą osiedlonych gospodarstw, część ich zasiewów wyłącznie wiosennych, jak owies, jęczmień i in. zostało przez myszy zjedzone i zniszczone, nie było na to rady, w mieszkaniach i oborach inwazja myszy, nie pomagały koty, trutki i różnego rodzaju pułapki, z każdym dniem było ich coraz więcej. Parcelacja gruntów wymagała dłuższego okresu czasu, więc zmuszony byłem mieszkać na wsi, gdzie myszy nie pozwoliły mi nigdy należycie wypocząć, wchodziły w nocy do łóżka pod kołdrę, przebiegały po twarzy, grasowały w pozostawionych na krześle

spodniach i marynarce, nic nie pomagało światło (lampa naftowa), którą sołtys zostawiał na stole jako straszak przed ewentualną inwazją. — — Tak zaczynało się życie rolników i geodetów na Ziemiach Odzyskanych. W następnych latach po zaoraniu i zagospodarowaniu całego obszaru myszy zostały wytępione.

— — Przypadło mi w udziale dokonać pomiarów na gruntach PGR Grunwald w powiecie ostródzkim. Zainteresowałem się skrawkiem ziemi w formie trapezu, położonym przy drodze wiodącej ze Stębarku do Grunwaldu o powierzchni jak sobie przypominam około 8,00 ha wraz z niedużym laskiem. Pole to nigdy nie było użytkowane, widać po nawierzchni. — — Dlaczego tego kawałka ziemi nie użytkujecie, pytam jednego z moich robotników miejscowego pochodzenia z Grunwaldu. A bo to jest pole bitwy polskiego króla z Krzyżakami i miejsce to przez Niemców również nie było użytkowane — odpowiedział mój robotnik z Grunwaldu. Ach tak — powiadam swoim robotnikom — to na tym polu polski król Jagiełło tak sromotnie sprął skórę Niemcom. — — Pierwszą moją czynnością było zastabilizowanie granic pola przez usypanie w narożnikach i załamaniach granicy olbrzymich kopców, następnie wyłączenie tego kawałka ziemi z obszaru gruntów PGR i zaliczenie w rejestrze do gruntów użyteczności państwowej, któremu nadałem imię «Pole Grunwaldzkie».

Józef Kulikowski, mechanik:

„Tymczasem szła druga wiosna wyzwolenia. Nasze ciągniki mające już jako tako skompletowane obsady miały wyruszyć pewnego dnia do pracy w pobliskich gospodarstwach rolnych. Zorganizowano uroczystą odprawę naszych traktorzystów wraz z przedstawicielami społeczeństwa i władz. — — Potem uruchomiono silniki i kilkadziesiąt ciągników przejechało z hukiem przez miasteczko, kierując się w różne strony do wyznaczonych im miejscowości, do pracy. — — Okazało się, że wszystkie ciągniki, które z taką paradą opuściły miasteczko, stoją unieruchomione tuż za jego granicami. — Jesteście mechanikiem, czy nie? — spytał mnie starszy z wojskowych. Cóż miałem odpowiedzieć? Pojechaliliśmy do najbliższej grupy unieruchomionych ciągników. Wsiadłszy z samochodu naprawdę nie wiedziałem, dlaczego ciągniki zatrzymały się. Z opowiadań traktorzystów zorientowałem się, że silniki zatrzymały się jeden po drugim po przełączeniu ich zasilania z benzynowego na naftowe. Nic mi to jednak nie mówiło. Z wojskowego samochodu, który nas przywiózł, pożyczono benzyny i napełniono zbiorniki ciągników. Silniki wystartowały równo i bez wysiłku. Po przełączeniu jednak na zasilanie naftą — wyraźnie traściły obroty, dymiły i w końcu zatrzymywały się. Dlaczego? Towarzyszący mi wojskowi przypatrywali się i coraz to któryś pytał — No i co? Odpowiadałem coś nieokreślonego i brałem się do ponownego przedmuchiwania dysz i gaźników, regulacji iskrowników. Wreszcie rozgrzany gorączkowym poszukiwaniem rzekomych usterek zdjąłem z siebie kożuch, którym byłem okryty ze względu na przejmujące zimno i nie patrząc, gdzie go kładę, powiesiłem go po prostu na chłodnicy ciągnika, przy którym poszukiwałem uszkodzeń. Napełniwszy ponownie rozruchowy zbiornik ciągnika benzyną, uruchomiłem silnik i pomyślałem — Niech do końca silnik pracuje na benzynie, a ja jeszcze raz postaram się podregulować gaźnik. Jeżeli próba się nie uda, to już nie wiem. Po kilku minutach pracy silnika i po dokonaniu regulacji gaźnika, przełączyłem silnik na zasilanie naftą i o dziwo! Silnik nie zgasł, ale pracował dalej równo i dźwięcznie bez śladu dymu, a na umieszczonym na chłodnicy specjalnym wskaźniku biała wskazówka, która zawsze

dotychczas stała na zerze i nie wiedzieliśmy, do czego służy, przesunęła się na zielony sektor skali. Dlaczego? Nie wiedziałem. Podeszedłem do drugiego ciągnika i powtórzyłem te same czynności co przy pierwszym. Po przełączeniu na zasilanie naftą — silnik zgasł. To już było zupełnie niezrozumiałe! Dlaczego silnik pierwszego ciągnika pracuje i wskazówka wskaźnika stoi na zielonym polu? Czego nie wykonałem w drugim? Czyżby pomogło okrycie chłodnicy kożuchem? Za chwilę płaszczem jednego z wojskowych okryto chłodnicę drugiego ciągnika i po uruchomieniu na benzynie z bijącym sercem przełączono na zasilanie naftą. Silnik pracował dalej i tak samo, jak w pierwszym ciągniku wskazówka na wskaźniku stanęła na zielonym sektorze! I nagle wszystko staje się jasne i zrozumiałe! Chce się tańczyć z radości! Przecież w magazynie stacji leży wiele nikomu nie potrzebnych zasłon z gęstej tkaniny ze specjalnymi uchwytami, które przybyły razem z ciągnikami i nikt nie wiedział, do czego służyć! A więc one są do zakrywania chłodnic!

Pojechaliśmy więc do stacji, wzięliśmy wszystkie zasłony i rozwieźliśmy je do każdego stojącego ciągnika wraz z ustną instrukcją użycia i litrem benzyny, koniecznej do uruchomienia silników, szafowanej nam przez kierowcę wojskowego samochodu. «Starszy mechanik» zaś został odwieszony do domu i pożegnany przez wojskowych ciepłym uściskiem dłoni. Ciągniki pracowały odtąd nienagannie na zasilaniu naftowym, a «starszy mechanik» został wielkim specjalistą od spraw ciągnikowych.”

Czesław Rychlik, inż. budowlany. Jesienią 1947 roku został dyrektorem Spółdzielni Budownictwa Wiejskiego:

„Odbiliśmy z zarządem pierwszą rozmowę w Ministerstwie Odbudowy. Plan, który miałem wykonać był rzeczywiście absurdalny. Odbudować 5350, jak planowano, obiektów i to na pustkowiu w okolicznościach dysponowania kilkoma pracownikami i 30-osobową załogą, wydawało się niedorzecznością w samym założeniu. Dysponowałem zaledwie 4 samochodami — gratami i dekawką na wykończeniu. Połosa z kilkoma pracownikami majstrowali przy montowaniu z przypadkowych części osobowego wartburga i to było wszystko.

Ciężko było się decydować na podjęcie się takiego wariackiego zadania. Obliczałem długo w myślach różne warianty, możliwości i wreszcie oświadczyłem ministrowi i obecny, że mimo ujemnych rezultatów, wynikających z rachunku prawdopodobieństwa, podejmę się tej awantury. — — Zobowiązałem się w krótkim czasie opracować szczegółowe kosztorysy. Suma przeznaczona na akcję była astronomiczna na owe czasy, gdyż wynosiła około 2 miliardów zł, podczas gdy przerób pozostałych przedsięwzięć nie przekraczał 100 mln zł, a i te nie były nigdy przerabiane. Ustaliliśmy, że dla przygotowania jakiegoś takiego startu będziemy szukać robót byle jakich, by wykorzystać zimę dla rozszerzenia załogi. Ze wzruszeniem wspominam, jak wszyscy się przejęli, jak rosła nasza gromadka. Odnawialiśmy instytucje, braliśmy remonty i w ten sposób ściągnęliśmy bardzo dużo fachowców. — — Dni majowe zaczęły się od wielkich emocji. Wrócili koledzy z różnych stron Polski przywożąc liczne ekipy pracowników. W ciągu tygodnia liczebność pracowników przekroczyła tysiąc osób. Uruchomiliśmy odbudowane przez nas tartaki w Stawigudzie i Bartoszczach i jakoś mimo trudności z surowcem dawaliśmy na razie radę rozwinąć pracę.”

Władysław B o r a k, inż. mechanik z Kętrzyna pisze o Zjednoczonej Wytwórni

Sprzętu Sportowego i Szkutniczego w Kętrzynie (obecnie Farel). Poniższy opis zakładu dotyczy połowy lutego 1949 roku:

„Zakład był zupełnie pusty. Nad wejściami do poszczególnych budynków widniały jeszcze dobrze czytelne napisy niemieckie *Jungpferdestall* — stajnia koni lekkich, *Pferderennplatz* — ujeżdżalnia konna, *Uniformmagazin* — magazyn mundurowy, *Artillerienplatz* nr 3 — stanowisko artyleryjskie nr 3 itp. Wszystko to przypominało mi żywo dni minionej wojny. Wojny, w której brałem udział jako żołnierz 4. dywizji piechoty Ludowego Wojska Polskiego, z którego zdemobilizowany zostałem z początkiem 1947 roku.

Wewnątrz tych budynków wzdłuż ścian po lewej i prawej stronie stały puste, rzędem ustawione boksy konne i dobrze zbudowane betonowe żłoby. Nic w tym dziwnego. Były to pomieszczenia koszarowe — kawalerii i artylerii konnej armii niemieckiej, budowane w latach 1928/32. Maszyn i urządzeń produkcyjnych nie było żadnych w tych pomieszczeniach. Gdzieś tam widziałem pojedynczych robotników walących młotami betonowy żłób i inne przeszkody. Przygotowywali oni miejsca pod maszyny produkcyjne, które wkrótce miały skądś nadejść. Jedynie w oddziale naprawczym samochodów, który pierwszy został zorganizowany, widać było ruch maszyn. Pracowało tam wówczas pięciu monterów samochodowych, dwóch ślusarzy, jeden tokarz — o nazwisku Siliniewicz, który powrócił z Francji po zakończeniu wojny, i starszy monter ob. Roman Czachowski, powstaniec warszawski. Skład parku maszynowego tego oddziału stanowiła jedna stara poniemiecka tokarka, szlifierka do wałków i sworzni, wytaczarka pionowa do wytaczania cylindrów silników samochodowych, wiertarka stołowa mała i dwutarczowa ostrzałka do noży tokarskich i wiertel.

Kierownikiem tego skromnego oddziału był właśnie Borowicki, który proponował mi tego dnia objęcie tymczasowo stanowiska starszego mistrza. W dalszej rozmowie kierownik Borowicki zapewniał, że w miarę rozwoju zakładów istnieje możliwość objęcia innych stanowisk kierowniczych itp. Po powrocie do biura usiedliśmy za stolikiem, na którym oprzeć się łokciem było niebezpiecznie, gdyż nogi tego stolika były zbyt ruchliwe. W takich to prymitywnych warunkach urzędowali owi założyciele Zakładów Sprzętu Sportowego i Szkutniczego w Kętrzynie. — — Dyrektor J. Łabno powierzył mi obowiązki organizatora działu mechanicznego i odlewni żeliwa. Palącą sprawą było uruchomienie najpierw odlewni. Ściągano, skąd tylko było to możliwe, złom żeliwny i gromadzono go przed budynkiem. Żeliwiak odnaleziono w gruzach byłej fabryki maszyn rolniczych tak zwanej *Landwirtschaftliche Maschinengeräte*. W dalszych poszukiwaniach znaleziono tam kilka pras mimosrodowych, wiertarek, pil do cięcia metali i wiele innych maszyn do obróbki drewna. Były to maszyny spalone i zdekompletowane. Niemniej jednak niektóre z nich nadawały się do remontu, a po wyremontowaniu stanowiły cenną wartość tego zakładu. Wszystko to śpiesznie ściągano, remontowano i ustawiano na stanowiska, z których wkrótce miał zejść pierwszy produkt sprzętu sportowego. — — Na wiele spraw przymykano oczy, lub załatwiano je przy kielichu, byle otrzymać, kupić, ściągnąć i uruchomić w odpowiednim terminie. Zmuszały nas ku temu istniejące warunki i środowisko, w jakim organizowaliśmy zakład.

W miarę wzrostu zatrudnienia i rozwoju zakładu narastały nowe trudności. Po licznych ogłoszeniach w gazetach o potrzebie fachowców do zakładu, zgłaszały

się przyjezdni. Trzeba było im zapewnić mieszkania. Zakład dysponował dużym zasobem pomieszczeń mieszkalnych zdewastowanych wojną. Nasuwała się konieczność szybkiego remontu przyzakładowych bloków mieszkalnych. Władze miejskie Kętrzyna nie były w stanie zabezpieczyć w owym okresie tej ilości mieszkań, jakiej potrzebował zakład. Zorganizowano więc w tym celu przyzakładową brygadę remontowo-budowlaną, którą prowadził doświadczony technik budowlany M. Białas, obecny rencista. Ściąganie techników i fachowców z różnych krańców Polski do zakładu było podyktowane koniecznością, ponieważ większość osiedleńców Kętrzyna stanowili wieśniacy z byłych terenów wschodnich Polski przedwojennej. Wśród nich znajdowaliśmy fachowców, ale takich jak: cieśle, kołodzieje i kowale. Dzięki właśnie temu zasobowi robotników szybko rozrosła się przyzakładowa grupa budowlana. Już w sierpniu i wrześniu 1949 roku oddano do użytku przyjezdnym wyremontowane 32 mieszkania. Nowi przybysze — widząc możliwości rozwojowe zakładu oraz dogodne warunki mieszkaniowe i zarobkowe, ścigali tu swoich bliskich, krewnych, znajomych itp. Wszystko to sprzyjało rozwojowi zakładu. Zaspokajało potrzeby zatrudnienia i zaludniało Kętrzyn, który z każdym dniem nabierał uroku i stawał się ruchliwszy. — — Dzięki wytężonej pracy organizatorów w ciągu pięciu miesięcy, we wrześniu 1949 roku została uruchomiona odlewnia. Pierwsze odlewy, jakie ukazały się, były to dwutysięcznokilogramowe kile do jachtów budowanych przez Stocznice Jachtową w Giżycku, podstawy do poręczy gimnastycznych i okrążków oraz ciężarki do podnoszenia o udźwigu 17, 25 i 32 kg. Oddział mechaniczny przystępuje do obróbki odlewów. Z zakładu wychodzą pierwsze wyroby sportowe i sprzęt gimnastyczny, poszukiwany na rynku krajowym i zagranicznym. Potrzeby materiałowe i surowcowe były duże. Szczególnie odczuwano braki odpowiednich gatunków stali na narzędzia wykrojników, krępowników itp. W miarę dużej ilości zamówień na produkcję różnego rodzaju sprzętu sportowego, trudności zaopatrzeniowe w materiały wyjściowe i podstawowe nie pozwoliły na pełną realizację tych zamówień. Zachodziła konieczność kombinowania różnymi sposobami materiału. Podstawową taką bazą zaopatrzeniową na przełomie lat 1949/50 była położona w pobliżu Kętrzyna siedziba Hitlera, tzw. obecnie «Wilcza Jama» w Gierłozie. Ściągnięto stamtąd dużą ilość rur różnych rozmiarów, blach cienkich i grubych, płyt oraz prętów. Zdobywany w ten oto sposób materiał uzupełniał niedobory zaopatrzeniowe, dopóki nie zdarzył się nam przykry przypadek.

Pewnego dnia odwiedzam kiluosobową brygadę ludzi naszego zakładu, która przygotowywała tam materiał odpowiedni do wywozu. Gdy podszedłem do jednego z robotników, spostrzegłem, jak walił on znalezionym granatem po przecinaku, używając go za młotek. Na pierwsze spojrzenie zaniemówiłem. Natychmiast wyrwałem mu go z ręki. Po dokładnym obejrzeniu stwierdziłem, że był to pełnowartościowy rączny granat niemiecki i w dodatku z nałożoną nakładką odłamkową. Zwołałem wszystkich w bezpieczne miejsce, wyciągnąłem zawleczkę zapalnika i rzuciłem granat za pobliską ścianę bunkra. Eksplodujący granat trafił na ukrytą w ziemi minę, która kilka ułamków sekundy później eksplodowała. Na szczęście byliśmy wszyscy w bezpiecznym miejscu — nikomu nic się nie stało. Jedyne przy podmuchu obsypało nas piaskiem. Od tego dnia kategorycznie zabroniliśmy i zaniechaliśmy sprowadzania jakichkolwiek materiałów z «Wilczej Jamy». A robotnik o nazwisku W. Bodał był mi bardzo wdzięczny."

Czesław Truszkowski, inż. leśnik przybył do Olsztyna z nakazem pracy po studiach w Poznaniu. W 1951 roku objął stanowisko kierownika bazy spedycyjnej w Orniecie (pod opieką 14 składnic drzewnych położonych na terenie 4 powiatów):

„W terenie stwierdziłem duże zaniedbania, a przede wszystkim marnotrawstwo drewna. Przystąpiłem natychmiast do przerobu starych remanentów i według nowej klasyfikacji przekazywałem je zakładom przemysłowym. Dzięki szybkiej akcji straty ograniczyłem do minimum i wykonałem pierwsze poważne zadanie. — — A miałem roboty nie mało. Na składnicach drzewnych brak było pomieszczeń na biura, brak oświetlenia elektrycznego, place składowe nie zagospodarowane, zniszczone drogi, brak dokumentacji na drewno dowożone z lasu. Dokumenty dostarczano składnicom często po kilku miesiącach, na skutek czego były trudności w ustaleniu na bieżąco stanu ilościowo-jakościowego drewna na składnicach. Dawało to pole do różnych nieuczciwych transakcji wśród personelu składnic, jak i w nadleśnictwach. Wiele jeszcze innych było zagadnień pilnych do rozwiązania, jak np. nadmierne koszty podwozów drewna przez prywatnych wozaków, angażowanych przez składnicowych (umożliwiało to nadużycia na tym tle), szkolenie składnicowych itp.

Prace te należało wykonać niezależnie od robót codziennych, normalnych, jak przyjmowanie drewna z lasu i wysyłka do odbiorców. Terminowe i rytmiczne zaopatrzenie fabryk i tartaków w odpowiednie sortymenty oraz w takiej ilości, aby zakłady przemysłowe mogły pracować bez zakłóceń, było zagadnieniem bardzo trudnym do zrealizowania z uwagi na brak rąk do pracy, brak wagonów, brak sprzętu samochodowego, brak sprzętu do załadunku drewna na wagony.

Na skutek ograniczonej możliwości zakupienia tarcicy i cegły na budowę kantorków wykorzystywałem materiały rozbiórkowe ze zburzonych w czasie wojny budynków i szop, znajdujących się na niektórych składnicach. Zniszczone zabudowania kazałem rozebrać i przewozić na miejsce budowy. Ponieważ były duże trudności z dokumentacją, jak i z fachowcami, znalazłem wśród robotników starego, doświadczonego cieśle, który pod nadzorem budował drewniane kantorki. A na składnicy w Lidzbarku Warmińskim dzięki inicjatywie składnicowego i robotników pobudowano własnymi siłami biuro z cegły.

Do dziś, choć już mocno zniszczone, stoją jeszcze na składnicach kantorki w Orniecie, Pieniężnie, Lidzbarku Warmińskim — świadectwa trochę nielegalnych, ale koniecznych inwestycji.

Składnica w Orniecie tak była zabagniona, że w największą suszę, jaka miała miejsce w 1951 r., pojazdy mechaniczne (bardzo silne tetry) nie mogły w pojedynkę bez pomocy innych kierowców nawet pustym wozem przejechać po placu. Ile wysiłków, potu i klątw padało ze strony kierowców na tej składnicy. Szukałem rozwiązań, lecz początkowo bez skutku, a o melioracji nie mogło nawet być mowy z braku pieniędzy, planów i wykonawców. Wreszcie przypadkowo zauważyłem wywożony z miasta gruz z rozbiórki zniszczonych domów — jako materiał nieużytkowy. Szybko uzgodniłem z odpowiednią instytucją, która tymi sprawami się zajmowała, by za pewną opłatą z uwagi na zwiększoną odległość wywozową, skierowano pojazdy z gruzem na naszą składnicę. Jednocześnie moje poszukiwania szły w kierunku sprowadzenia żużlu dla wyrównania wierzchniej warstwy placu. Efekt był taki, że po paru miesiącach miałem cały zabagniony teren wyłożony gruzem, a górną warstwę żużlem, sprowadzonym z parowozowni PKP

w Elblągu. Natomiast ciężkie samochody z załadowanym drewnem uważały składowisko nie gorzej niż specjalne urządzenia przeznaczone do tego celu, których nie mogłem znikąd otrzymać. Od tej pory żadne pojazdy nie topiły się na składnicy i nie nadwyreżały swojej siły. Drewno składano teraz na placach suchych, dzięki czemu nie uległo dalszemu gniciu."

IV. MOTYWY WYBORU ZAWODU

Charakterystyczne były motywy wyboru zawodu, w którym autorzy wspomnień pracowali następnie przez wiele lat. Przybycie osadników i repatriantów na teren niejako pusty, na którym od nowa tworzyła się administracja, instytucje, gdzie odbudowywano gospodarke, otwierało szerokie pole do popisu i inicjatywy ludziom przedsiębiorczym i energicznym, dawało okazję do zdobycia zawodu, do wyżycia się w pracy zawodowej i społecznej. Nieraz było to spełnienie marzeń okresu dzieciństwa czy młodości, nieraz zadecydował przypadek, a czasem współgrały obydwie te czynniki.

Tadeusz S y n d o m a n pisze:

„Pracę w dziedzinie telekomunikacji podjąłem zupełnie przypadkowo i jako całkowity nowicjusz, gdyż to ani mój młody wiek, ani okres przebytej okupacji na nic innego nie pozwalały. Po przeszło miesięcznym okresie różnorodnego stykania się z — — narzędziami i sprzętem teletechnicznym, nauczyłem się w rekordowym tempie sztuki wchodzenia na słupy. Czynność tę wykonywałem nawet bez pasa i z nie bardzo dobranymi co do wielkości szpulozami.

Posiadanie polowego aparatu telefonicznego i jaka taka umiejętność posługiwania się nim sprawiały mi dużo satysfakcji i były ukoronowaniem moich dążeń, gdyż dopiero teraz dostrzegłem, że naprawdę osiągnąłem to, o czym marzyłem jeszcze w latach chłopięcych, kiedy to próbowałem budować telefon mając do dyspozycji jedynie kawałek nitki i pudełeczko po paście do butów.

Z zapałem starałem się spełniać każdą powierzoną mi czynność, traktując to jako obowiązek wobec przełożonych a jednocześnie jako zaspokojenie i pogłębienie wiedzy o słabo mi jeszcze znanym prądzie elektrycznym i o wszystkim, co pod jego postacią występowało i było z nim związane."

W sprawozdaniu za miesiąc czerwiec 1945 roku przesłanym do Ministerstwa Administracji Publicznej pełnomocnik na Okręg Mazurski, Jakub Prawin, stwierdzał, iż jedną z bolączek życia gospodarczego Okręgu jest brak fachowców we wszystkich dziedzinach życia⁸. Brak ten dawał o sobie znać jeszcze przez długi okres. Dlatego też każdy, kto posiadał minimum wiedzy fachowej mógł liczyć na dobrą pracę, nieraz przekraczającą jego wiadomości fachowe. Pisze na ten temat Józef K u l i k o w s k i:

„Ponieważ pracowałem w Königsbergu [Kaliningrad] przy obsłudze urządzeń portowych i według własnego mniemania znałem się na mechanice przeto udałem się niezwłocznie do pobliskiego miasteczka — Olecka — aby podjąć się odpowiedniej pracy. W miasteczku pustym prawie zwróciły moją uwagę jakieś nowe stojące na placu maszyny, nie podobne do niczego, co dotychczas widziałem. Miały one dwa małe koła z przodu złączone razem, z tyłu zaś dwa koła o śred-

⁸ F. Sokołowski, *op. cit.*, s. 340.

nicy grubo ponad metr. Przyglądając się tym maszynom nie zwróciłem uwagi, że podszedł do mnie jakiś jegomość i uchyliwszy grzecznie uszanki (był marzec 1946 roku) zapytał — przepraszam, czy pan mieszka w tym mieście? — No... niezupełnie, odpowiedziałem zgodnie z prawdą — a dlaczego pana to interesuje? — Widzi pan — tu jegomość w uszance bardzo się ożywił. — Jestem od wczoraj kierownikiem Państwowego Przedsiębiorstwa Traktorów i Maszyn Rolniczych w Olecku, otrzymaliśmy 30 sztuk tych cudacznych traktorów (aha! to traktory, pomyślałem sobie) i nie tylko nie wiem, jak znaleźć obsługę do nich, ale ani ja, ani dwaj zaangażowani wczoraj pracownicy nie bardzo wiemy, jak je uruchomić. Jeśliby pan znał się co nieco na mechanice, to przychodź pan do pracy od zaraz.

Tak to z powierzoną znajomością obsługi i konserwacji urządzeń portowych, przyswojoną przez dwa lata przymusowej pracy, zostałem zaangażowany w charakterze specjalisty (starszego mechanika) do spraw obsługi i ewentualnie naprawy amerykańskich i radzieckich traktorów. Praca, którą podjąłem naziątrz po załatwieniu formalności (imię, nazwisko, proponowane stanowisko i ewentualnie płaca — jak będą pieniądze — i jeżeli zgoda, to podpis ją do wszystkiego) polegać miała na zgłębieniu tajemnic owych amerykańskich traktorów w zakresie przede wszystkim ich uruchomienia, a następnie prowadzenia."

V. KSZTAŁTOWANIE SIĘ KADRY TECHNICZNEJ WOJEWÓDZTWA OLSZTYŃSKIEGO

O tym, jak z takich właśnie młodych ludzi wyrastali fachowcy wspomina Mieczysław Królik:

„B., chłopak ze wsi wileńskiej. Los rzucił go na Mazury. Rozpoczął od łopaty przy wykopach na sieci wodociągowej. Sprawnie i akuratnie z drobiazgową dokładnością zaczął uszczelniać rury, uczyć się ślusarki, Pomocnik monter. Książka ciężko przekazuje swą treść, praktyka szybciej przychodzi. Pierwszy kurs trzytygodniowy otworzył jakąś furtkę, spotkał się z takimi samymi, wspólny język, ten sam fach. Awans na montera. Udział w odbudowie gazowni, od podobne, ale inne prace, inna specyfika zagadnienia.

B. kończy kurs mistrzowski, składa egzaminy. Zostaje gazmistrzem. Idzie na kursy maturalne. Kierownik gazowni. Kierownik techniczny MPGK.

Tak rośli i wyrastali ludzie. Ludzie wartościowi, cenni."

O kształtowaniu się kadry technicznej pisze również Czesław Truskowski: „Dla poszerzenia horyzontów wiedzy, dla łatwiejszego zrozumienia istoty jakości drewna oraz dla zapoznania się z klasyfikowaniem drewna w zakładach przemysłowych organizowałem szkolenie w zakładach przetwórczych. Więc jeździliśmy do tartaków, do fabryk sklejek i oklein, do fabryk celulozy i papieru. Tam, w czasie przerobu, najlepiej były widoczne wady drewna i skutki niewłaściwej klasyfikacji. Przy okazji zapoznawaliśmy się z produkcją, organizacją pracy itp.

Tymi i innymi sposobami z ludzi prostych, niewykształconych, miałem potem dobrych kierowników. Pamiętam, jak wakujące miejsce kierownika składnicy w Słobitach, pow. Pasłęk obsadziłem robotnikiem, który od kilku lat przodował w pracy. Dla lepszego wciągnięcia się do pracy, przez jakiś czas prowadziłem u niego częste kontrole i instruktaże. Zauważyłem, że moje uwagi po prostu polykał i

starał się je potem zrealizować na składnicy. Po dwóch latach składnica była jedną z najlepiej prowadzonych. W nagrodę przeniosłem go na trudniejszą składnicę, zwiększając mu odpowiednio pobory. Gdy i tu stwierdziłem, że daje sobie radę, przesunąłem go na najtrudniejszą składnicę. Byłem z niego bardzo zadowolony, a on starał się odwdziżyć pracowitością i obowiązkowością. Świecił przykładem wśród innych, a brak wykształcenia wyrównywał douczaniem się w domu przez czytanie dostarczanych mu książek fachowych. Wreszcie wysłałem go na krajowy kurs brakarski. Ukończył kurs z wynikiem dobrym. Wobec czego miano- wałem go swoim zastępcą w pracy terenowej.

W ten i inny sposób wyszkoliłem wielu ludzi na dobrych fachowców, którzy do dziś pracują na stanowiskach technicznych i cieszą się pozytywną opinią. A gdy czasami spotykamy się, wspominają mi o swojej karierze życiowej."

Autor kończy wspomnienia oceną swojej pracy. Jej ogólniejsze sformułowania, odnoszą się do wszystkich cytowanych tu autorów. Rzeczowe słowa Czesława Trzaskowskiego oddają sprawiedliwość całej pionierskiej kadrze inżyniersko-technicznej:

„Pracując na terenie bardzo trudnym włożyłem w pionierskiej swej pracy jako obywatel i notowiec cząstkę swego zdrowia dla odbudowy kraju i odbudowy ziemi odzyskanej na Warmii i Mazurach. Dzięki odpowiedniemu podejściu i życzliwości wielu ludzi przestało myśleć o tymczasowości, osiedlając się na dobre na tych ziemiach. Przyczyniłem się do podniesienia kultury wśród ludzi, do ograniczenia pijaństwa, do zwiększenia dobrobytu na Warmii i Mazurach, do zagospodarowania odłogów. Przez podniesienie kwalifikacji zawodowych pomogłem zdobyć ludziom wyższe stanowiska, a przez polepszenie warunków pracy poprawiłem bezpieczeństwo i higienę pracy oraz ograniczyłem wypadkowość."

DIE ERINNERUNGEN DER TECHNIKER UND INGENIEURE DER PIONIERE DES WIEDERAUFBAUS DER WOJEWODSCHAFT OLSZTYN

Zusammenfassung

In dem Artikel werden die Fragmente der Erinnerungen von elf Autoren dargestellt, die als Techniker und Ingenieure sogleich nach der Beendigung des 2. Weltkrieges in die Wojewodschaft Olsztyn gekommen sind. Diese Fragmente wurden aus 25 Arbeiten ausgewählt, die zu einem Wettbewerb über die Erinnerungen an die Arbeit in Ermland und Masuren eingesandt wurden, welcher 1969 von der Wojewodschafts-Zweigstelle der Technischen Hauptorganisation veranstaltet wurde. Es wurden diejenigen Arbeiten ausgewählt, die von der ersten, tatsächlich pionierartigen Periode erzählten, wobei (mit einer Ausnahme) das Jahr 1950 als eine konventionelle Abgrenzung betrachtet wurde.

Die dargestellten Erinnerungsfragmente beziehen sich grundsätzlich auf die Instandsetzung eines Betriebes, oder einer kommunalen Einrichtung. Die Autoren sind: zwei Landvermesser, zwei Förster, zwei Mitarbeiter des Fernmeldewesens, drei Mechaniker, ein Fischerei-Ingenieur und ein Bauingenieur. Es wurden scharfkonturige, bildhafte Fragmente ausgewählt, die in einigen Fällen eine eigene frappante Handlung haben. Es wurden in den Originaltexten (die in der Regel in einwandfreier Sprache geschrieben worden sind) keine redaktionellen Änderungen vorgenommen. Man wollte auf diese Weise eine zwar bruchstückhafte, aber den

Wert der Authentizität besitzende Illustration der damaligen Bemühungen um die Wiederbelebung der verwüsteten und entvölkerten Landes zeigen.

Alle Autoren der Erinnerungen schreiben über grausame Zerstörungen, die sie in diesen Gebieten getroffen haben, über die infolge der von der deutschen Behörden befohlenen Zwangsevakuierung entvölkerten Lande, über die vollständige Zerstörung der Wirtschaft, über den Mangel der einfachsten Lebensmittel. Trotzdem wurden jedoch nacheinander in Betrieb genommen: das Fernmeldewesen, der geodätische und der Forstdienst, die Landwirtschaft, die Fischerei, die Elektrizitätswerke und die industriellen Anlagen. Die technischen Kader Ermlands und Masurens, die ihre eigenen Qualifikationen und die Arbeitsorganisation fortwährend verbesserten, wurden zu der Antriebskraft des ununterbrochenen Fortschritts dieser Region, und die „Pionierjahre“ bildeten den Anfang einer ganzen Kette von Umwandlungen.